22

Widok. Theories and Practices of Visual Culture

tytuł:
Uświadomiony koniec
autor:
Adam Robiński
źródło:
Widok. Theories and Practices of Visual Culture 2018 nr 22
odsyłacz:
https://www.pismowidok.org/pl/archiwum/2018/22-zobaczyc-antropocen/uswiadomiony-koniec
doi:
https://doi.org/10.36854/widok/2018.22.1806
wydawca:
Widok. Fundacja Kultury Wizualnej
afiliacja:
Uniwersytet SWPS
Uniwersytet Warszawski

słowa kluczowe:

antropocen; bezradność; eseistyka

streszczenie:

Recenzja aktualnych pozycji książkowych poświęconych epoce Antropocenu.

Adam Robiński – Ur. 1982, dziennikarz wolny strzelec, pisarz, autor zbioru Hajstry. Krajobraz bocznych dróg (Wołowiec 2017), za który otrzymał nagrody Magellana i Travelera, był też nominowany do nagrody literackiej m.st. Warszawy oraz nagród im. Witolda Gombrowicza i Conrada. Obecnie pracuje nad książką o Karpatach.

Uświadomiony koniec

- **Ewa Bińczyk,** *Epoka człowieka. Retoryka i marazm antropocenu*, **Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2018**
- **Jonathan Franzen,** *Koniec końca świata*, **przeł. W. Kurylak, Sonia Draga, Warszawa 2019.**
- **Elizabeth Kolbert,** *Szóste wymieranie*, **przeł. T. i P. Grzegorzewscy, W.A.B., Warszawa 2016**.
- **Roy Scranton,** *Learning to Die in the Anthropocene* **City Lights Publishers, London 2015.**

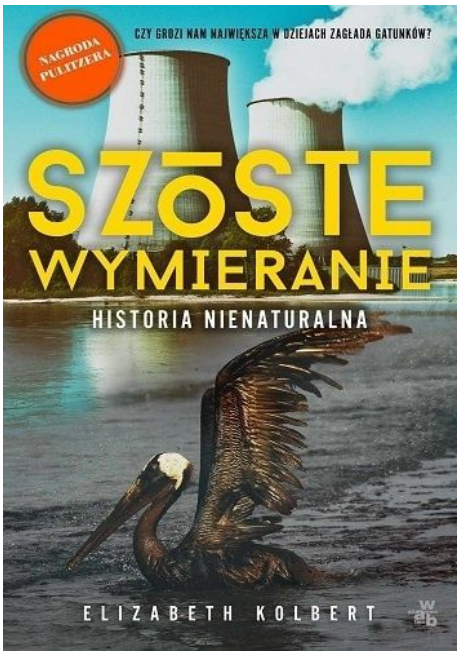

Na nakręconym w grudniu 2017 roku na terenie nadleśnictwa Baligród filmie widzimy tonący w śniegu głęboki parów, którego dnem przed watahą wilków ucieka niedźwiedzica z dwoma młodymi. Wszystko dzieje się bardzo szybko. Samica staje między dwoma bukami, by osłonić młode, ale po chwili wszyscy troje są już otoczeni. Wilki trzymają niedźwiedzie w szachu i – zapewne – zaczynają kombinować, w jaki sposób zaatakować któreś z młodych, by samemu odnieść jak najmniej obrażeń ze strony zdesperowanej matki. Film, zrealizowany po amatorsku, najpewniej przy użyciu zwykłego smartfona, zakończyłby się pewnie jak nieudolna imitacja dokumentu przyrodniczego, gdyby w operatorze – leśniczym Kazimierzu Nóżce – nie odezwała się nagle pewna potrzeba: interwencji czy zaistnienia? „Nie! Zostawcie!" – niesie się między drzewami. Wilki pryskają

momentalnie. Niedźwiedzica patrzy w stronę człowieka – w jej odległym i rozpikselowanym spojrzeniu niektórzy widzowie będą się potem doszukiwać wyrazów wdzięczności – po czym również czmycha z młodymi. Redakcja wydawanego przez Lasy Państwowe kwartalnika „Echa Leśne" wrzuca film do sieci. Facebook szaleje, leśniczy Nóżka staje się bohaterem telewizji śniadaniowej. Dopiero po paru dniach przychodzi refleksja: dlaczego leśnik zaingerował w naturalny proces przyrodniczy? Jakim prawem opowiedział się po stronie ofiary? I czemu, do jasnej cholery, państwowy zarządca lasów postanowił pochwalić się nieodpowiedzialnym zachowaniem swojego pracownika?

Pogłębiająca się refleksja nad konsekwencjami antropocenu coraz częściej mierzyć się musi z poczuciem bezradności. Być może naiwny aplauz dla zachowania leśnika w paradoksalny sposób oddaje ten stan – przeczuwany, choć może nienazwany jeszcze powszechnie. Bezradność wobec wymierania gatunków i niszczenia ekosystemów można – przynajmniej pozornie i na moment – przesłonić fałszywym ratunkiem dla pojedynczego przedstawiciela jednego z nich. Dobrze więc w tej sytuacji spojrzeć na to, co do powiedzenia mają komentatorzy i komentatorki nowej „ludzkiej" epoki.

Opóźniona refleksja w kontaktach ze światem naturalnym jest typowa dla *Homo sapiens*. Freony, DDT, plastik – to tylko kilka elementów z długiej listy ludzkich błędów uświadomionych poniewczasie. Ten problem uwidacznia się szczególnie w obliczu ogólniejszych kwestii łączonych z antropocenem: w związku z klimatyczną katastrofą, dramatycznym spadkiem bioróżnorodności, niekontrolowanymi migracjami społeczeństw na ogromną skalę. Wydana w ubiegłym roku przez PWN książka Ewy Bińczyk z toruńskiego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, zatytułowana *Epoka człowieka. Retoryka i marazm antropocenu*, pozwala wnikliwie przeanalizować to opóźnienie. To od niej warto więc zacząć refleksję na temat języka epoki człowieka.

Ewa Bińczyk jest filozofką, nie klimatolożką. Jej rola w przyglądaniu się antropocenowi przypomina tę odgrywaną

przez oenzetowski Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu (Intergovernmental Panel on Climate Change), który nie prowadzi własnych badań, a jedynie analizuje stan wiedzy na temat przyczyn, przebiegu i skutków klimatycznej katastrofy oraz wyznacza odpowiednią perspektywę czasową. Pierwsze wzmianki łączące wzrost średniej temperatury na planecie z emisjami dwutlenku węgla to lata 30. ubiegłego wieku, pierwsze poważniejsze naukowe analizy i alarmy – lata 60., pierwsze wnikliwe doniesienia prasowe (w tym okładka „The New York Times") – lata 80.), pierwsza formalna artykulacja problemu na forum międzynarodowym – rok 1992. Uznanie przez Amerykański Sąd Najwyższy CO_2 za substancję stanowiącą zanieczyszczenie miało z kolei miało 11 lat temu. Humanistyczny namysł nad skutkami antropocenu to ostatnia dekada – a więc czas, gdy w opinii naukowców zmiany te są już one nieodwracalne.

Epoka człowieka zaistniała na rynku książki nienaukowej nie tylko dlatego, że podobnych pozycji jest w Polsce zadziwiająco mało. Na pierwszy rzut oka naszpikowana datami, faktami i cytatami, szybko okazuje się zręcznie napisanym i przystępnym kompendium. Czymś na kształt repetytorium z antropocenu. To również, wbrew pozorom, dość emocjonalna lektura. Bińczyk wskazuje na postępującą bezradność naukowców, która budzi w nich aktywistów, a z czasem spycha w stronę tytułowego marazmu oraz melancholii. Może dlatego w części poświęconej wnioskom z analizy retoryki antropocenu toruńska filozofka zwraca się ku wciąż marginalizowanym ideom postwzrostu. Dalsze wsłuchiwanie się w interdyscyplinarne głosy jest próbą poszukiwania rozwiązań i ratowania czytelników przed rosnącym poczuciem marazmu. „Epoka antropocenu rozpaczliwie potrzebuje krytycznej nadziei i przekonania, że konstruktywna zmiana jest możliwa" – tłumaczy autorka.

Kiedy kilka miesięcy temu rozmawiałem z Ewą Bińczyk, opowiadała o swoim zdumieniu skalą ignorowania antropocenu przez filozofów. Jej zdaniem ludzkość nigdy nie stała jeszcze

przed tak wielowymiarowym problemem: przyrodniczym, politycznym, etycznym, ekonomicznym i religijnym. Kiedy jeśli nie teraz należy pytać o wartości związane z człowieczeństwem? Kim jesteśmy, skoro nasza obecność na planecie niesie katastrofę całej biosferze?

„Jak być człowiekiem w epoce antropocenu?" – to pytanie staram się zadawać wszystkim, którzy zawodowo mierzą się z tą tematyką: humanistom, przyrodnikom, analitykom oraz badaczom z dziedzin, które wyrażają zainteresowanie nieuchronną zmianą. Ich odpowiedzi krążą zwykle wokół jednostkowej odpowiedzialności za najbliższe otoczenie i troski o własne sumienie. „Nie lataj, nie jedz mięsa, przesiądź się na rower, głosuj na zielonych". Nie można się z nimi nie zgodzić, choć biorąc pod uwagę, że zegar tyka, to wszystko tylko eufemistyczne określenia bezradności. Jak słusznie zauważa Bińczyk, retoryka antropocenu opiera się również na przesuwaniu i zrzucaniu odpowiedzialności – ze skupionego na gromadzeniu kapitału i wzroście systemu ekonomicznego oraz jego beneficjentów na bliżej nieokreślony ogół.

Może dlatego tak ważny w debacie na temat antropocenu jest głos Amerykanina Roya Scrantona. W wydanej w 2015 roku krótkiej książce *Learning to Die in the Anthropocene* autor – w przeciwieństwie do Bińczyk – szuka intelektualnych recept, którymi mogłyby się ratować jednostki. Jeśli jako gatunek zawiedliśmy wszystkie inne gatunki współżyjące na jednej planecie, dziś i w przyszłości, to musimy umieć to przyznać – przekonuje Scranton. Jego twórczość literacka jest naznaczona biografią. Zanim trafił na akademię, kilka lat spędził na włóczędze po Stanach Zjednoczonych, a kilkanaście miesięcy na wojnie w Iraku. Rzeczownik „śmierć" jest w jego pisaniu odmieniany przez wszystkie przypadki.

> Kiedy jednostka godzi się z naturą śmierci, pozbywa się swoich przyzwyczajeń i lęków. Aby zrobić to samo jako cywilizacja, musimy zrezygnować z konkretnego stylu życia, tożsamości,

> pojmowania sukcesu i rozwoju. Te dwie drogi poznawcze zbiegają się w osobie myśliciela humanisty: tego, który chce się zatrzymać i zadawać niewygodne pytania, który chce przerywać innym, który rezonuje na innych kanałach, a jego komunikaty są wolniejsze, ale głębsze.

U Scrantona klamka zapadła, a wszelka nadzieja jest ułudą. Pogodzenie się ze śmiercią naszej cywilizacji powinno oznaczać jej pogrzeb, po którym pokolenie naszych dzieci (autor ma córkę, o której w poruszający sposób napisał kilka miesięcy temu na łamach „The New York Times") zbuduje swój własny świat. Wybór jest prosty: możemy żyć jak dotychczas, łudząc się, że jutro będzie takie samo jak wczoraj, z każdym kolejnym dniem będąc coraz gorzej przygotowanym na nadciągającą katastrofę. Możemy też widzieć w każdym dniu śmierć tego, co minione, a tym samym uwolnić się od umysłowych ograniczeń.

Pisząc o śmierci, Scranton intensywniej niż Bińczyk zwraca uwagę na cywilizacyjną spuściznę i jej eschatologiczny wymiar. Obserwując upadające systemy, filozofowie od zawsze zastanawiali się nie nad tym, jak one działały, lecz co znaczyły. „Co to znaczy być człowiekiem? Czym jest życie? A dobro? Prawda? Te pytania są naszą zmorą. Torturujemy się nimi, chorujemy od nich, popadamy w szaleństwo". Nie potrafimy wyjść poza antropocentryczne schematy myślowe, ustawiające nas w opozycji do środowiska. Tymczasem – przekonuje Scranton – jesteśmy tylko skończonymi, ograniczonymi skupiskami kosmicznego pyłu. Niczym ponad wspomniane środowisko. Miksem pierwiastków, który nie znaczy absolutnie nic. Węgiel, z którego jesteśmy zbudowani, narodził się w umierających sercach gwiazd. Mimo to zaszliśmy imponująco daleko – kilka tysięcy lat temu stawialiśmy znaki w glinie, dziś wysyłamy swoje obiekty poza Układ Słoneczny. Ale nasza obecność w holocenie i tak będzie tylko chwilowym rozkwitem glonów. Nawet jeśli jakimś nadludzkim wysiłkiem społecznym uda nam się przezwyciężyć obecny kryzys, przyjdą następne. I skoro powoli uświadamiamy sobie, że nic – również gospodarka – nie może

rosnąć wiecznie, musimy zastosować tę samą prawdę względem naszej cywilizacji. Ją również czeka kres. Wbrew pozorom Scranton nie jest jednak w żałobie – jego tok myślenia prowadzi do stopniowej akceptacji śmiertelności człowieka jako gatunku i cywilizacji jako tworu, w którego stałości i trwałości niesłusznie pokładamy nadzieję.

Jak więc, myśląc o lepszym jutrze i szukając sposobów na uciszenie własnego sumienia, pamiętać również o tym, co tu i teraz? Być może droga ku antropocenicznej harmonii wiedzie po prostu innymi gałęziami drzewa ewolucji niż te, po których wspinały się istoty dwunożne. Może należałoby opierać się na przezwyciężaniu antropocentryzmu, będącego przecież jednym ze źródeł problemu. To zdają się sugerować twórcy kolejnych dwóch książek, o których chciałbym wspomnieć – co istotne, są to autorzy wolni od akademickich okowów. Jonathan Franzen nie jest przeciętnym konsumentem środowiska. O jego ptasiarskim hobby czytelnicy usłyszeli, gdy kilka lat temu opublikował w „National Geographic" alarmujący artykuł poświęcony polowaniom na ptaki (szeroko omówił go w *Dwunastu srokach za ogon* Stanisław Łubieński). Sam Franzen uważa się za skrajny przypadek: głównym motywem jego podróży po świecie jest „zaliczanie" endemicznych gatunków i uzupełnianie prywatnej listy zaobserwowanych ptaków o rzadkie przypadki. Wydany pod koniec ubiegłego roku (od niedawna dostępny również po polsku) eseistyczny zbiór *Koniec końca świata* nie powinien zatem być zaskoczeniem. Duża część zamieszczonych w nim tekstów do osobiste refleksje humanisty na temat miejsca człowieka pośród innych gatunków. Ptaki są tu pierwszym skojarzeniem, uniwersalną metaforą i kluczem interpretacyjnym. Ptaki przyćmiewają nawet wybór Donalda Trumpa na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ptaki są też symboliczną odpowiedzią Franzena na antropocen, sposobem na przełamanie wyłącznie ludzkiej perspektywy. Namysł nad klimatycznym końcem świata kieruje go na koniec geograficzny. Podczas rejsu na Antarktydę (świadom śladu węglowego, jaki

wygeneruje kaprys białego turysty z grubym portfelem) widzi królewskie pingwiny i dochodzi do wniosku, że obserwacja tak doskonałej istoty jest wystarczającym powodem nie tylko do odbycia długiej podróży, ale i do usprawiedliwienia własnej obecności na planecie. Świadomość istnienia pingwinów nadaje życiu Franzena sens, którego nie jest w stanie rozwiać nawet świadomość rychłego kresu. „Nawet w umierającym świecie rodzą się nowe miłości" – konkluduje, nieświadomie dorabiając wywodom Scrantona kłębki nadziei.

„Historia życia to długie okresy nudy przeplatane od czasu do czasu paniką" – to już Elizabeth Kolbert i jej nagrodzona Pulitzerem książka *Szóste wymieranie*, od niedawna dostępna również w polskim tłumaczeniu. Ta panika to wielkie, masowe wymierania, jakich pięć poprzedziło obecność człowieka na Ziemi, a szóste jest skutkiem jego własnych działań. Wszędzie tam, gdzie pojawiał się człowiek, znikały rdzenne gatunki – pisze Kolbert – i choć procesy wymierania są czymś naturalnym, to jednak w XXI wieku przyspieszyliśmy je tysiąckrotnie. Większość znikania ma charakter nieujawniony – odbywa się w dolnych partiach lasu tropikalnego, w głębiach oceanicznych rowów, w rzekach i na niebie, którego tylko mniejsza część znajduje się przecież nad lądami. Ale choć wciąż żyjemy pośród pingwinów królewskich i w ich smukłych sylwetkach jesteśmy w stanie szukać głębszych sensów, prawda ta nie dotyczy już mastodontów, dodo, mamutów, turów czy nosorożców białych z podgatunku północnego (ten ostatni wymarł w minionym roku na oczach siedmiu miliardów dwunogów).

„Oczywiście głównie interesuje nas los naszego gatunku – pisze Kolbert. – Ja jednak zaryzykuję bycie posądzoną o to, że nie przejmuję się wystarczająco ludźmi (chociaż niektórzy z moich najlepszych przyjaciół to ludzie!), i powiem, że w sumie nie warto się tym zajmować". W *Szóstym wymieraniu* nie ma rozdziału o *Homo sapiens*, choć chyba każdy czytelnik będzie go szukał. Może właśnie to jest najcelniejsza refleksja, której – z mniejszym lub większym powodzeniem – poszukują również autorzy wcześniej

wymienionych książek. Najtrwalszą spuścizną antropocenu będzie brak, za którym nikt nie krzyknie, którego nikt nie zauważy i nikt nie oceni. Dlatego, obserwując spotkanie wilków i niedźwiedzi w bieszczadzkiej kniei, leśniczy Nóżka – i my wszyscy – powinniśmy po prostu zamilknąć. Być może najwłaściwszą postawą w obliczu sytuacji, w której się znaleźliśmy, jest bowiem podziw dla zdolności adaptacyjnych przyrody względem zmieniających się warunków bytowych. Ostatecznie stawianie kropki nad i nie będzie – jak słusznie zauważa Scranton – należało do żadnego człowieka.